Nr. 47. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 18 Listopada 1871.

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

KAJETAN WĘGIERSKI.

Studjum literackie

Walerego Przyborowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Pieśń pierwsza rozpoczyna się od katastrofy. Umiera baba służąca do kalkowania na organach w kościele, a która przed śmiercią

„...... Księdzu testamentem za świadczone łaski
Krowę dała i masła starego pół faski......“

Owóż, gdy się to stało, ksiądz sobie słodko zasypia po wczorajszéj niedzieli a tymczasem organista uznał za stosowne „swojego koczkodana wziąść do kalkowania“ o czém donosi drzemiącemu proboszczowi. Na wieść o tém srodze się oburza Matyasz zakrystjan — ksiądz proboszcz także, a „do zemsty wcale nie leniwy“ chce z Matyaszem biedz zaraz do kościoła, lecz go wstrzymuje „o pańskie zdrowie nader Dorota troskliwa“ stawiając obiad na stole — poczém sprowadza do plebanji komendarza i altarzystę[1] i innych przyjaciół, którzy przy starym miodzie rozpocząć mają na głos kapłana „jutro radę walną.“

Pieśń drugą zaczyna poeta od dowcipnéj i satyrycznéj charakterystyki ciekawości, która szepnęła już organiście, „że się naprzeciw niemu knuje spisek cichy.“ Przerażony tém myślał już o upokorzeniu się, gdy tymczasem zasnął i we śnie Niezgoda pod postacią jego żony, zjawiła się przed nim i energicznemi słowy nakazała mu walczyć:

„...........czy spodziałby kto się (sic)
Byś sobie plebanowi mógł dać grać na nosie,
I cierpieć, aby na twe organy rozciągał
Władzę przykrą i z twéj się słabości urągał...“

Zagrzany tą cyceronowską mówką organista porywa się czémprędzéj i sojusz zawiera „Z Bartkiem co blizko mieszkał odważnym stolarzem, i z Janem bardzo śmiałym i zręcznym ślusarzem“, którzy byli zagniewani na księdza i uradzili wspólnie nocą porąbać organy, ku czemu zawiązali się przysięgą.

Pieśń trzecią poczyna poeta od apostrofy do samego siebie:

„...................czy ja bocian, aby
Świat czyścić i krzykliwe zbierać z niego żaby?
Lecz wytrzymać nie mogę — nie wiem czém się dzieje,
Z chęciąbym się urzędu podjął kaznodzieje,
A machając rękami z wysokiéj ambony,
Wrzeszczałbym: zaniechajcie niezgody szalonéj!...“

[1] Altarzysta—ołtarzysta, kapłan lub sługa kościelny przy pewnym ołtarzu. Linde I, 14. Komendarz mający duchowną komendę (?!). Linde II, 415.

Owóż wieczorem

„......Skoro tylko Morfeusz na tę sferę ciemną,
Poczynał władzę swoją rozciągać przyjemną,
Zeszli się trzéj rycerze......"

i po naradzie ruszyli do kościoła, gdzie za przykładem organisty potłukli ze szczętem organy, co widząc

„......Chciał kościoła tego patron zejść z ołtarza,
Lecz że się znajdowały tam święte panienki,
Nie schodził dla zgorszenia, nie mając sukienki..."

W pieśni czwartéj, ksiądz pleban zwoławszy naradę z altarzysty, komendarza, jakiegoś bernardyna i t. d. po świetnéj mówce oddał kalkowanie Agnieszce, poczém pospolitem ruszeniem, zbrojni w drągi, siekiery, kosy, szczapy, z czeladzią udają się do kościoła instalować Agnieszkę — ale jakież było ich zdziwienie i smutek, gdy zastali ruinę. Łatwo domyślili się kto był sprawcą téj klęski i ksiądz pleban zemstą rozgorzał srogą.

Pieśń piąta szydzi i drwi niemiłosiernie ze świata i ludzi — wszystko tu jest głupstwem, komedją i nic więcéj. Przechodząc do opowieści, tak ją daléj prowadzi autor: Nazajutrz po owéj instalacji Agnieszki, był jubileusz, więc do kościoła zjechało się mnóstwo ludzi zacnych — przyszedł tam także organista. Ujrzawszy go ksiądz idący do kościoła, w łeb go palnął brewiarzem — a działo się to przy stragánie księgarzy, więc rozpoczęła się bitwa książkami — obu stronom pomoc przybiegła. Tu autor dowcipnie wyszydza, mianowicie w dopiskach, owoczesnych pisarzy. Bitwa trwała dość długo, aż ksiądz palnął organistę między oczy Fortunatem — autor w dopisku mówi: „Fortunat, romans nudny, którego bez ziewania czytać nie można." Organista tak przywitany legł w błocie. Przyjaciel jego Bartek:

„.........................porwał Banalukę
I nią mu (księdzu) fryzowaną wysadził perukę."

Byłby w końcu proboszcz uległ, gdyby mu na pomoc nie przypadł ojciec Bonifacy.

Pieśń szósta. Podstoli siedząc niecierpliwie w kościele, dowiedziawszy się o bitwie, wybiegł i umitygował wszystkich, zaprosiwszy ich do siebie na obiad, gdzie pijąc i jedząc a rozmawiając o najświeższych nowinach, odłożyli zgodę na wieczór.

Na tém się kończy poemat niezmiernie ubogi w treść, trywialny, niby chorujący na satyrę, którą przecież nie jest, bo nie ma w nim ani jednéj postaci o krwi i kościach. Satyra bierze typy w danym kierunku i z takowych szydzi — w Organach nie ma typów — są to marjonetki głupie i bezmyślne. — Całość naprawdę sensu nie ma. Autor, choć tak młody, już pozuje na filozofa przeżytego — wszystko na świecie nazywa głupstwem, bawi się w cynizm, mianowicie w dopiskach, pyta się „czy on bocian aby wybierał żaby? szydzi, drwi... niekiedy jest beswstydny. Powiadam, nie jest to satyra, bo nietylko że nie ma w niéj istotnych ludzi, ale całość nie ma celu — nie wiemy czego tu chciał i do czego dążył autor — a przecież tendencyjność jest jednym z warunków satyry, jako poezji przeważnie dydaktycznéj. Autor chciał tu być satyrycznym na wzór Krasickiego, ale mu nie dorównał — porywa się, gromi, ale sam nie wié kogo i za co. Poemat ten słowem nie miałby żadnéj wartości, gdyby ubóstwa treści i celu nie okupywała forma gładka, potoczysta choć nie bez wad, język czysty i piękny i ów dowcip gryzący niekiedy, trafny, werwa, okazująca, że talent niepospolity tlił się w téj duszy. Dostrzegamy tutaj już wszystkie owe wady organizacji duchowéj poety, które wkrótce rozwiną się potężnie — ową chęć do kaznodziejstwa nie mając do niéj prawa, cynizm i bezwstyd, szydzenie z życia, natury, wszystkiego co święte, co zacne... A miał lat osiemnaście jak pisał Organy![1]).

III.

Bajki. — Wiersze różne. — Pojęcie ówczesne o poezji. — Paszkwile. — Trembecki. — Duchowe strony poety w epoce pierwszéj życia.

Przechodzimy do innych prac Węgierskiego. Najprzód spotykamy Bajki, których w edycji Mostowskiego jest dwanaście, chociaż bezwątpienia musiało ich być znacznie więcéj — lecz skromny minister obcinając porządnie Węgierskiego, przypadkiem czy umyślnie zostawił taką bajeczkę na przykład jak Dwa wróble[2]) odznaczającą się cynicznym bezwstydem. Reszta bajek nie wielką ma wartość, mianowicie jeśli je postawimy obok Krasickiego, obok tego praktycznego rozumu księdza biskupa, ujętego w formę o matematycznéj precyzji. Bajki autora Organów są albo okolicznościowe jak n. p. Sztuka i natura, albo polityczne jak Dwoje koźląt, albo wreszcie przeprowadzają jakiś morał. Zwraca pomiędzy niemi na siebie uwagę wstęp do bajki Lasek[3]), w którym szambelan królewski zmęczony widać niepokojem i groźbami wynikłemi w skutek jego paszkwilów, tak się odzywa:

„Zrzekłem się prawdy mówić.
Będę sobie pisał bajki.
Już mnie nikt nie potrafi na słowo ułowić,
Nie rozgniewam kokietki, ni wstrętnéj nie.....
Bo mnie też djabeł sam musiał odurzyć,
Nikt mnie do tego nie pędził,
Ażebym prawdę gawędził,
Gdy pożyteczniéj jest kadzidło kurzyć."

Drugi dział prac Węgierskiego stanowią wiersze różne, poczynające się w edycji Mostowskiego od Ody do Naruszewicza, którą poeta pisał w młodości swojéj. Oda to dziękczynna, pełna takich wyrażeń jak: władogromy, słodkobrzmiący, złotogwary, bystrolotny i t. d. Naruszewicz bowiem wziął pod swoje, urzędowym laurem okryte skrzydła, poczynającego młodzieniaszka[4]) — a „miał mu za co ten ostatni dziękować, powiada jego biograf[5]), bo rzecz to była niesłychana w literaturze owoczesnéj, iż pióro siedemnastoletniego studenta usadowiło się za protekcją arcy-mistrza parnassu, obok piór wiedzionych dłonią sędziwych, lub dostojeństwy górujących mężów. Naruszewicz otworzył mu ciężkie bramy „Zabaw przyjemnych i pożytecznych" i umieścił w nich przekład Węgierskiego: „Porównanie Karola V cesarza z Franciszkiem I królem" (prozą z francuzkiego) a późniéj kilka poezji."

Te „wiersze różne" zostały także dobrze obcięte przez wydawcę Mostowskiego — rozpustne są w nich tylko takie utwory jak Żona-sen, Nice, Przypadek w piwnicy i Na uniwersarz wesela Elżbiety, chociaż koniec tego ostatniego odznacza się spartańskim patrjotyzmem. Napisany on zdaje się na cześć Elżbiety Potockiéj[6]). Wiersza tego, powiada późniejszy pisarz[7]). nie poważyłby się dzisiaj żaden poeta ofiarować kobiécie, takie tam malowidło jaskrawe. Uchodziło to jednak wówczas za wytworny komplement.

---

[1]) Druga edycja Organów wyszła p. t. „Ksiądz pleban dyecezji X. B. W. Brunsberg 1783 in 8o — jest tu dedykacja krótsza jak w edycji Weychardta.

[2]) Wybór pisarzy polskich I, 357.

[3]) Ibidem I, 354.

[4]) Kłosy i Kwiaty p. 291.

[5]) Idem, 292.

[6]) Idem, 298.

[7]) Idem.

„Były to czasy, mówi cytowany już przez nas autor[1]), kiedy piękne panie a wielkie damy nie osłaniały swoich piersi przed pierwszy raz widzianym gościem, kiedy po kolei były królowemi na dni kilka, kiedy z obnażonemi nogami przychodziły na bale, świecąc pierścieniami uczepionemi u palcy do nóg. Były to czasy rozwiozłości niczém nie osłanianéj, życia utracjuszowskiego, karnawałowego, chwile wyuzdanéj swawoli, które domagały się chłosty i to potężnéj.“

[1]) Idem, 297.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WIELKOPOLANOM

NA POŻEGNANIE.

Bywaj mi zdrowa — ziemio Piastowa,
Kruszwicka żegnaj mi wieży!
Bywaj mi zdrowe — gniazdo wiekowe,
Orłów i orlich rycerzy!

Jeszcze mi dzwoni — plusk Gopła toni,
Lecz smętniéj jakoś, boleśniéj...
I jeszcze słyszę — w wieczorną ciszę,
Jęk Miłosławia i Wrześni!

Nad skronie moje — pszczół złotych roje,
Rwie z piastowego się ula;
Zdala przyświéca — Opalenica,
Kolebka mędrca i króla!*)

Żegnaj mi dębie — coś swe gołębie,
Na dół pochylił już skronie.
O słyszę jeszcze — te „Rytmy“ wieszcze,
Zaklęte w twojéj koronie!**)

Ołtarzu stary — cichéj ofiary,
Ziemio poświęceń i cnoty!
Ty na wyłomie — Ojczyzny promie!
Żegnaj mi skarbcu szczodroty!

W którą bądź stronę — wichry szalone,
Porwą mię, gdzie bądź wyruszę...
Ku wam źrenice zwrócę zamglone,
Bo tu zostawiam mą duszę.

Poznań dn. 9. 11. 71.

Władysław Bełza.

*) Opalenica miejsce rodzinne Leszczyńskich.

**) Mowa tu o dębie Kaspra Miaskowskiego, poety XVI wieku, rodem ze Smogorzewa w W. Ks. Poznańskiém.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Jenerał po samym sposobie powitania, pełnym powagi i grzecznéj restrykcji, domyślał się, że chodzi tu o sprawę jakąś nadzwyczajną. Gdy ich powitał grzecznie i usiąść prosił, zabrał głos hrabia Henryk:

— Excellencjo! (tytuł ten należał się Rokickiemu) — przybywamy tu w misji przykréj, któréj jednak podjąć się było naszym świętym obowiązkiem. Przysyła nas pan kapitan Zyberg z poleceniem, aby żądać od Waszéj Excellencji eksplikacji i satysfakcji za doznaną wczoraj obelgę.

Jenerał wysłuchał téj apostrofy z miną poważną, milczał chwilkę, a potém odparł:

— Pan kapitan Zyberg ma wszelkie prawo domagać się satysfakcji, a ja, jakkolwiek nie jeden i nie dwa razy w życiu wzywanym byłem do niéj, nigdy może nie czułem się do niéj tak obowiązanym, jak w téj chwili. Tak, moi panowie, wyznam otwarcie, że wyrządziłem krzywdę panu Zybergowi, że wyrządziłem ją w sposób, który nie da się ani uniewinnić ani wytłomaczyć. Nie namyślam się ani chwili, czyli dać obrażonemu satysfakcję, ale nieustannie myślę nad tém, jaką by wybrać satysfakcję, aby ona zupełnie wystarczyć mogła panu Zybergowi, którego zawsze kocham jak brata, zawsze szanuję jak ojca!

— Słowa twoje Excellencjo są pełne szlachetności — odparł na to p. Strzemiński — ale my mamy mandat ściśle określony i nie wiemy, czyli oświadczenie to mamy uważać za powód do zwłoki w dalszych krokach.

— Proszę, nie chciejcie panowie uważać ich za to — odpowiedział jenerał — bo ich w tym celu tu nie wypowiedziałem. Wyznanie własnéj winy nie uszczupla praw kapitana, choć dla mnie było obowiązkiem serca. Stawię się na wezwanie p. Zyberga. Jutro zaraz będą panom służyć moi świadkowie, którzy będą mieli pełnomocnictwo przyjąć wszystko, co tylko strona przeciwna zaproponować zechce.

Hrabia Henryk i pan Strzemiński powstali, a po kilku zwyczajnych ceremonjalnych frazesach pożegnali jenerała.

Znalazłszy się sam w swym gabinecie, Rokicki począł w smutném zamyśleniu przechadzać się po pokoju. Przed godziną otrzymał był list od siostrzeńca Zyberga, że Drużków za dwa tygodnie będzie opuszczonym. Nigdy może jeszcze w życiu nie żałował tak Rokicki

chwili zapomnienia, jak tym razem. Jenerał był szlachetnym, a Zyberga kochał sercem całem i uważał go zawsze za najlepszego swego przyjaciela. W kilka minut po wczorajszém gwałtowném zajściu żałował już srodze swego postępku. Całą noc nie zmrużył oka, czując prawdziwą zgryzotę i czyniąc sobie najsroższe wyrzuty.

Teraz bił się z myślami, szukając środków do załatwienia całéj téj tyle przykréj i bolesnéj sprawy. Jakkolwiek uważał za słuszne wyzwanie otrzymane, nie widział jednak w pojedynku dobrego załatwienia rzeczy.

— Pojedynek nie wystarcza! — mówił sam do siebie jenerał. — Pojedynek tu nic nie pomoże! Kto do kogo będzie strzelał? Ha! gdybym wiedział, że Zyberg naprawdę będzie godził na moje życie, że będzie się starał ranić mnie lub zabić, uważałbym pojedynek taki za dostateczną satysfakcję! Ale wiem, ale przysięgnę, że Zyberg palić będzie w powietrze, a będzie czekał, aby go moja kula ugodziła! O znam go doskonale! Ale co on sobie o mnie myśli! Czy mniema, że mierzyć będę do niego? a toż prędzéj sam sobie w łeb bym wypalił! I cóż pomoże taki pojedynek! Ale rzeczy muszą iść zwykłym torem. Oglądnijmy się za świadkami!

Jenerał zadzwonił na służbę i kazał zaprządz konie. Zabierając się do wyjazdu, ciągle myślał i naradzał się z sobą. Nagle, jakby pod wpływem szczęśliwéj jakiéjś myśli, jenerał uśmiechnął się do siebie i szepnął:

— Wybornie się składa! Dam satysfakcję Zybergowi dobrowolnie, a potém się strzelać możemy. Niech mnie potém zabije ten poczciwy ludożerca, ale ja spełnię obowiązek sumienia.

I z weselszą już twarzą usiadł jenerał do powozu, każąc się wieźć do jednego z znajomych swych w sąsiedztwie. Uprosiwszy sobie świadków do honorowéj rozprawy, jenerał powrócił pod wieczór do domu tak spokojny i wesoły, jakim go nigdy nikt nie widział od owéj sceny na balu u pani Atalji.

Nazajutrz po tych zajściach wielki był ruch w Drużkowie, w dworku Zyberga. Jak wiemy był to dzień urodzin kapitana. Dzień to był uroczysty nietylko w Drużkowie, ale w całém sąsiedztwie, wszyscy bowiem okoliczni obywatele spieszyli z życzeniami swemi do kochanego i szanownego weterana. Dworek w Drużkowie nie mógł wtedy prawie pomieścić gości, tyle ich zewsząd przybywało, i raz na rok siedziba Zyberga wrzała życiem, wesołym gwarem, muzyką i wiwatami.

I tego roku dzień urodzin miał się święcić uroczyście i hucznie, chociaż dusza solenizanta strapioną była i smutną, a sam festyn miał być tylko pożegnaniem Drużkowa. Jak już wiemy, Zyberg uprosił swego siostrzeńca, aby nie zdradzał się z zmartwieniem przed gośćmi, i aby każdy, kto tego dnia zawita do Drużkowa, znalazł twarze pogodne, i pozorne bodaj wesele. Rano Zyberg wstał jak zwykle wcześnie, i przyjął czułe powinszowania swéj rodziny, a potém pojechał zaraz do Zbrojnéj, aby wysłuchać w kościele mszy świętéj, którą na jego intencję ksiądz Andrzéj co rok w dniu tym odprawiał.

Po wysłuchaniu mszy świętéj Zyberg zabrał z sobą księdza Andrzeja, który miał już tego dnia aż do późnéj nocy pozostać gościem w Drużkowie. Po obiedzie, chcąc pofolgować strapionemu sercu, Zyberg wbrew postanowieniu swemu wygadał się ze wszystkiém przed swym duchownym przyjacielem, przemilczając tylko, że wyzwał jenerała, pod tym bowiem względem żołnierz z świątobliwym kapłanem nigdy by się nie mógł był zgodzić. Wiadomości te srodze zasmuciły księdza Andrzeja, i sędziwy kapłan w rozrzewnieniu swém od płaczu wstrzymać się nie mógł. Umiał on uznać wielkość krzywdy, wyrządzonéj przez jenerała Zybergowi, i nie zaprzeczał mu prawa do obrazy, ale niemniéj przeto użył całéj swéj słodkiéj wymowy, aby serce swego przyjaciela odwrócić od zawziętości.

— Bóg z nami, mój drogi bracie, Bóg z nami! — mówił przezacny ten kapłan. — Wszystko on ku dobremu skłoni! Ale nie daj zapanować namiętności nad dobrem sercem twojém, kochany kapitanie! Jesteś już starcem i znasz zanadto ludzi, aby nie być wyrozumiałym na ich błędy, jesteś katolikiem, i codziennie prosisz Boga o odpuszczenie win swoich, jako je odpuszczasz winowajcom swoim. Bracie kochany, ty znasz przecież Rokickiego, wiesz, że serce jego szlachetne jest i zacne; wiesz, że nie wierzy temu, co sam powiedział w szalonym i szpetnym gniewie! Miałżebyś sumienie doprowadzać rzeczy do ostateczności, wypełniać wiecznym żalem duszę jenerała, który cię kocha, i zasmucać serce moje, w którego przyjaźń wierzysz przecie! Bóg z nami! do tego nie przyjdzie, ja tego niedopuszczę, jakem żyw, kapitanie, niedopuszczę!

Ale kapitan głuchy był na słowa kanonika. Zżymał się, zatykał uszy, gniewał się nawet na serjo.

— Ani mi gadaj tego jegomość! — wołał impetycznie. — Jegomość na tém się nie rozumiesz! Dobrze ci tak mówić, boś święty, boś bez żółci, boś sługa boży, kanoniku; ale ze mną darmo, ja stary żołnierz jestem, i grzesznik rogaty, a kto mnie nogą potrąci, jeżem mu się nastawię, jakem Zyberg! Tyś ksiądz, dla ciebie pokora cnotą i dumą szlachetną, dla mnie ona w tym razie byłaby hańbą! Trzydzieści lat służyłem honorowi pod bronią, dziś stary i w odstawce nie złamię mu wierności i kwita! Tułałem się po świecie długie lata, różnie ze mną bywało, los mną młyńcy wywracał po całéj ziemi bożéj; zdarzało się, że nic nie miałem, ani dobréj szmaty na grzbiecie, ani dachu nad głową, ani kęsa chleba czarnego dla posiłku, ale honor bez skazy pozostał. Sądź mnie, łaj mnie, strofuj surowo, ja się bić będę w piersi jak grzesznik, bo masz prawo karcić mnie ostro, ale to nie pomoże; i nie ustąpię, nie ustąpię, jakem Zyberg, kanoniku!

Ksiądz Andrzéj umilkł, bo widział, że tym razem argumenta jego pozostaną bez wpływu, ale nie zraził się wcale. Postanowił sobie w duszy, że raraz nazajutrz wszystkich możliwych środków użyje, aby pogodzić tak gwałtownie poważnionych przyjaciół. Nie było zresztą czasu do dalszych poufnych sporów, bo goście zaczęli się zjeżdżać do Drużkowa. Cała prawie szlachta okoliczna, od najmożniejszéj aż do najuboższéj, zjechała się powinszować szanownemu solenizantowi. Dworek Zyberga zaludnił się rojem gości, ale choć sam kapitan i rodzina jego siostrzeńca usiłowali ukryć smutek i ile sił stało przyczyniali się do utrzymania wesołości wśród licznego towarzystwa, przecież festyn urodzin Zyberga nie obiecywał być tak swobodnym i radosnym, jak zazwyczaj. Wieść o nieporozumieniach między Zybergiem a Rokickim miała już czas rozbiedz się po okolicy, a choć nikt nie miał odwagi zapytywać o to wprost solenizanta, szeptano sobie o tém po kątach i spoglądano badawczo na twarz gospodarza, który mimo pozornéj wesołości wpadał od czasu do czasu w zadumę i roztargnienie.

Opuśćmy teraz na chwilę Drużków a przenieśmy się do pałacu jenerała w Zbrojnéj. Gdy rano dnia tego marszałek przyszedł po zwyczaju do jenerała po dyspozycję dzienną, Rokicki zaraz u wstępu zawołał!

— Czekam pana niecierpliwie. Mam na dziś wyjątkowe polecenia. Uważaj tedy waszmość dobrze, co mówię. Zaraz o godzinie szóstéj mam wyjechać, ale w gali zupełnéj! Pamiętać mi tedy, aby o godzinie szóstéj gotowa była kareta galowa dworska, trzech lokaji i strzelec w wielkiéj liberji, i cztery konie w galo-

wéj uprzęży. Wszystko ma być tak przygotowane, jakbym miał jechać na dwór monarszy, rozumiesz wasze?

Marszałek skłonił się z zdziwieniem i odszedł z rozkazami. Jenerał zadzwonił na swego kamerdynera i rozkazał:

— Józefie! Po obiedzie wyjeżdżam, ale zmienię garderobę. Wybierzesz mi uniform galowy „grande tenue.“ Podasz mi mundur ze wszystkiém, co do tego należy. Szlify, epolety, wielka wstęga, wszystkie gwiazdy i ordery! Spiesz się, abym przy ubieraniu się na nic nie czekał!

Po wydaniu tych dyspozycji jenerał pracował dłuższy czas w swym gabinecie, zjadł obiad w najlepszym humorze, a po obiedzie począł się ubierać. Niebawem znalazł się w przepysznym, lśniącym od złota mundurze jenerała, okrytym w wszystkie oznaki dostojeństwa. Wielka wstęga jednego z najznakomitszych orderów europejskich spływała po piersiach Rokickiego, a obok niéj połyskiwały dwie gwiazdy komturowskie i kilka innych wysokich dekoracji.

Gdy już był gotów, i że tak powiemy w całym majestacie swych zaszczytów, jenerał wsiadł do powozu, lśniącego od ozdób kosztownych. Dwóch lokajów w wielkiéj liberji, z złocistemi akselbantami, stanęło w tyle, na kozioł skoczył strzelec w pełnym mundurze, a foryś puścił cztery przepyszne konie w bogatych i pysznych rzędach.

Jenerał Rokicki wychylił się z karosy i zawołał:

— Do Drużkowa, do pana kapitana Zyberga!

(Dokończenie nastąpi.)

NARÓD ZMARTWYCHPOWSTAŁY.

I.

Jeszcze w pierwszéj ćwiartce naszego stulecia nikt prawie nie wiedział, że istnieje ludność ośmiomiljonowa w Mołdawji, Wołoszczyznie, Transsylwanji, Bukowinie i Besarabji, wywodząca ród od starożytnych Rzymian, zaprzepaszczona w ciemniach zapomnienia, rozkawałkowana i podzielona pomiędzy różne państwa, zmięszana z rozmaitemi narodowościami. Może jedna historja polska zachowała najwięcéj wiadomości o tym zatraconym narodzie. Niejedna karta zapisana tam krwawemi głoskami, a nawet przysłowie:

Za króla Olbrachta
Wyginęła szlachta,

zachowało się do dziś i przypomina nam Stefana, hospodara multańskiego, który pod Kotnarem pobił na głowę wojska polskie, wziętych 20,000 niewolnika wprzągł do pługów, a w zoraną tak ziemię zasadził żołądź, z któréj wyrósł las na Bukowinie zwany czerwonym, dotąd istniejący. Kotnar dziś słynie z najlepszego wina. — Wtedy też po zawarciu pokoju 1499 r. uprowadził Stefan z Czerwonéj Rusi 100,000 mieszkańców i mszcząc się, rozproszył ich na obu brzegach Dunaju, do Bułgarji, Grecji, nawet do Azji wypędził. Szczątki i dziś tam odnaleźć można. W sto lat późniéj zadali Polacy śmiertelny cios Mołdo-Wołoszy, zabiwszy w jednéj bitwie pod Płojesztami 40,000 nieprzyjaciela. Dziś miasto to jest gniazdem najburzliwszych żywiołów, każdego dnia gotowych do rewolucji. Czyż niesforne duchy zwycięzkich polskich wojowników i tam miałyby pokutować?

Dzięki przemądréj polityce królów polskich i węgierskich, państwo Stefana Wielkiego szybko runęło i poszło w jarzmo tureckie. Lecz wyznawcy Mahometa sprawiedliwszymi okazali się od chrześcijan. Zdobywszy orężem tę ziemię, wyrzekli się bezpośredniego panowania, nie osiedlili się w niéj, nie narzucili praw swoich, ani religji, nie wybudowali tam ani jednego meczetu. Woleli raczéj rządy zdać nad ludem chrześcijańskim hospodarom chrześcijaninom. Przez półtora wieku gospodarzyli tedy w Mołdo-Wołoszy — Grecy! Oh! ci książęta z Fanaru cóż to za dzielni włódarze! Złupić kraj ze wszystkich bogactw, doprowadzić całą ludność do najokropniejszéj nędzy, zabić na duchu i na ciele — oto świetny rezultat ich panowania. Najwznioślejsze typy rabusiów i zbójców tylko wśród tych wkupujących się u Turka na hospodarstwa Fanarjotów znaleźć można. Niewola całego narodu kwitła obok strasznego poddaństwa chłopów. Sułtan tylko hospodarom, którzy zbyt bezczelném zdzierstwem i łotrostwami najpodlejszego rodzaju uniemożliwili swe panowanie, posyłał raz po raz sznurek jedwabny, zresztą nie wtrącał się do niczego. Tureckie ręce czyste pozostały w bezecnościach hospodarów, którzy głowy bojarskie zarówno ścinali jak chłopskie, wywłaszczali najdowolniéj z mienia każdego, uposażając tylko hojnie dowolne narzędzia tyranji. Za sobą przywiedli popów greckich, którym niebawem piąta część ziemi przypadła w dziale. Wszelkie ztąd dochody szły do błogosławionéj Grecji — Od Piotra Wielkiego zaczęła Rosja opiekować się współwyznawcami mołdowołoskiemi i prześcignęła nawet w pieczołowitości książąt z Fanaru. W r. 1829 uwieńczyła statutem organicznym i usankcjonowała pieczęcią prawa najbezwstydniejsze nadużycia i zbrodnie. Transsylwanją zaś a późniéj Bukowiną zajęła się Austrja i cywilizuje po swojemu do dzisiaj.

Zdawałoby się, że po tylu wiekowych torturach, w których całe społeczeństwo w podstawach wstrząśnięte i do gruntu wywrócone zostało, nic żywotnego pozostać nie mogło krom mnogości bezgłowéj upiorów raczéj aniżeli istot ludzkich. Jeszcze przed dwudziestu laty Mołdowołoszczyzna przedstawiała tłuszczę niewolników, żyjących bez myśli na sposób orjentalny, hospodara otoczonego pełzającą gromadą bojarów, chłopa przykutego do gleby w poddaństwie, tłumy koczowniczych cyganów, oddanych na własność absolutną — bojarom.

Dziś z tego wszystkiego ani śladu. Na tronie zjednoczonéj Mołdawji i Wołoszczyzny zasiada prawie udzielny książę — Niemiec; chłopi uwłaszczeni, tłumy niewolnicze cyganów gdzieś znikły, każdy, choćby najpośledniejszy mieszkaniec czuje się wolnym obywatelem kraju, rządzonym najswobodniejszą konstytucją. Klasztory greckie skasowane, dobra duchowne zabrane na własność państwa, Grecy się wynieśli, napłynęło dużo cudzoziemców z ucywilizowanego Zachodu. Tylko bojary po dawnemu borykają się z biedą i — żydami. Co najdziwniejsza, że cały naród jednym zamachem się przenaturzył, stał się czémś zupełnie innėm jak przed 20 laty — zacząwszy od strojów, sposobu życia, aż do pojęć i wyobrażeń, do organizacji społecznéj i politycznéj. Przypomniał sobie pochodzenie swe od Rzymian, a więc pokrewność szczepową z Włochami, Francją i półwyspem iberyjskim; poczuł się całością organiczną, narodem i nazwał się — Rumunem; przystąpił od razu do rodziny narodów Europy ucywilizowanych, lecz jak zwykle bywa, w początkach przejął od nich więcéj błędów aniżeli cnót i po większéj części raczéj małpą jest lub automatem, jak samoistnym działaczem. Pochodzi to ztąd, że sromotna przeszłość zostawiła niestarte znamie swe i że za wielu miał mentorów. Kiedy

Rumunja była niemowlęciem, prowadził ją na pasku — Rosjanin i od razu zaszczepił ospę zepsucia i nikczemności, potém dawał lekcje w szachrajstwie i spekulacjach dyplomatycznych — Austrjak, w końcu guwernerował Francuz i wprawiał we fanfaronadę i efronterję. Nawet żywioł chłopski, z natury tak konserwatywny, nieoparł się wdziękom syreny cywilizacyjnéj, stał się frantem jakich mało.

Nie bez przyczyny wywodzą Rumunji rodowód od Rzymian: nie ma bowiem pod słońcem drugiego narodu tak pieniackiego i opierającego całą swą moralność li na kruczkach prawniczych. Każdy Rumun rodzi się — adwokatem. Szczycąc się takimi praszczurami jak koloniści rzymscy, wyżyłowana przez wiekowe włodarstwo Greków, mając takich guwernerów jak Moskale, Niemcy i Francuzi — zaiste! podziwiać trzeba plany Opatrzności, że Rumunja wyszła jak Minerwa z głowy Jowisza — od razu narodem osobistym. Posiada znamiona tak wybitne, charakter tak oryginalny, że im bliżéj przypatrzyć się warto.

Idąc za prądem czasu, Rumuni, choć jeszcze dotąd rozczłonkowani, przyszli już do świadomości czucia siebie jako całości narodowéj. Około jądra zjednoczonych księstw naddunajskich grupują się i łączą duchem Transsylwańczyki austrjaccy i Besarabianie moskiewscy. Mołdowołoszczyzna bez Transsylwanji to kadłub bez głowy; każdy to czuje i historja tego uczy. Więc téż Panrumunizm stanowi gwiazdę, na któréj obracają się najpiękniejsze marzenia i najśmielsze nadzieje tego narodu.

Drugą cnotę z dzisiejszéj daty posiadają Rumuni, że są na wskroś demokratycznym społeczeństwem. Kastowość, tytuły, zaszczyty hierarchiczne nie mają żadnéj wartości ani znaczenia; zdolnością, zasługami wreszcie, zręcznością dochodzi się tutaj do najwyższych stanowisk, i to bardzo szybko, lecz niemniéj pospiesznie spada się w nicość. Do prostego chłopa mówi się: Dommule Joan! Panie Janie! Panie Kuba! lecz nie inaczéj i do ministra. W ogóle nawet (na sposób rosyjski) nie ma nazw familijnych dziedzicznych. Syn przybiera za nazwisko imie ojca — Jan Maciejów — albo po prostu wymyśla sobie jakieś nowe, najczęściéj od miejsca urodzenia lub przydomek. Wyjątek maluczki stanowią rodziny hospodarów ot: Gikowie, Sturdzowie, Moruzi, Sucowie itd., jako zabytek dawnych czasów a na urągowisko czy karę opatrznościową — są to bowiem nazwiska po większéj części owych niecnych książąt, przybyszów z Fanaru. Jak u nas ongi, tak dotychczas w Rumunji mówiąc o kimś lub do kogo używa się tylko imienia, a więc pan Grzegorz z Sanoka, pan Dymitry z Kotnara i t. d. W takim stanie rzeczy nic dziwnego, że w Rumunji sława, wielkość liczy się na dnie, z upadkiem lub śmiercią wieczne zapomnienie nagrodą. Pewien zakrój arystokratyczny zachowuje się tylko u właścicieli ziemskich, przezywających się dziś jeszcze bojarami. Lecz nie myślcie, żeby to była szlachta dziedziczna. Dziś każdy, co ma pieniądze i włości — bojarem. Niedawno był lokajem, ekononem, urzędnikiem, kupcem, żołnierzem — godziwym a częściéj jeszcze niecnym sposobem doszedłszy do majątku — kupuje sobie moszyję (wieś) ot i bojar. Taki jegomość (a dzieje się to w całym świecie) większe nadaje sobie tony, aniżeli bojar z pradziadów; od oficjalistów, od służby nie wymaga ani sumienności, ani znajomości rzeczy — byle mu czapkować, płaszczyć się i schlebiać. Zabytek to niepowrotnéj przeszłości, nie robiący najmniejszéj ujmy charakterowi narodowemu, jaki obecnie się nam przedstawia. Dominuje w nim uczucie godności i dumy, wynikającéj z mniemania, że każdy Rumun w prostéj linji pochodzi od rzymskich patrycjuszów. Ztąd wzgarda do wszystkiego co obce, nienawiść dla każdego cudzoziemca, traktowanie jako barbarzyńców wszystkie ludy nienależące do rasy łacińskiéj. Pogardliwą nazwą „niamc“ oznaczają każdego cudzoziemca. Piękny to przymiot — duma narodowa, jeśli oparta na rzeczywistéj wartości. U Rumunów wynika ona z wielu przyczyn. Ciemięstwo, jakiego doznali w ciągu wieków prawie od wszystkich sąsiednich narodów, wywołać musiało koniecznie nienawiść dorobczyzny, która dziś tém nieznośniejszą się staje, bo dominuje nad Rumunją już to siłą, już téż większą kulturą. Będąc jeszcze niezdolny, aby stanąć na własnych nogach, potrzebując obcego przemysłu, obcéj oświaty, od obcych nauki — Rumun w poczuciu swéj niższości nienawidzi swych nauczycieli i mentorów i stawia im naprzeciw wzgardę opartą na wrzekoméj historycznéj wielkości swego imienia, spowinowaconego z starożytną Romą. Z natury Rumun jest leniwy, ociężały, niepłodny. Dotąd nie potrafił wykazać się własnemi pomysłami w żadnéj gałęzi, czy to industrji, czy umiejętności, czy téż sztuki. Pozytywne wiadomości są mu wstrętne, — pożyczanemi myślami przejmuje się łatwo, błyszczy powierzchownym polorem, posiada wielką łatwość nauczenia się obcych języków i z natury stworzony jest — na mówcę. Mimo zamiłowania własnéj narodowości a pogardy obcych, popisuje się zagranicznemi zwyczajami i we własnym kółku używa — zwłaszcza w wyższych warstwach społeczeństwa — obcych języków, choć rodzimy potrzebuje wszelkiéj opieki, aby się ukształtował. — Jedynym w swoim rodzaju zjawiskiem jest to, że mowa Rumunów niezaprzeczenie pochodzenia łacińskiego, do niedawna objawiała się w szacie pisma słowiańskiego. Dopiero od lat zaledwie dziesięciu zarzucono kirylicę a przyjęto litery łacińskie.

Razem z tym przewrotem formy piśmiennéj nastąpiła zażarta puryfikacja i wykuwanie nowych wyrazów. Głównie zwrócono się przeciw słowiańskim naleciałościom, które wiekami osadzały się na pierwiastkach łacińskich i utworzyły w niejednym względzie — jakby chemiczne połączenie. I tak język rumuński nie posiada właściwie litery *l* — wszędzie wymawia się ze słowiańska a raczéj jak po polsku litera *ł*. Cecha więc wpływu słowiańskiego mimo szowinizmu rumuńskiego w tym wypadku zniszczoną być nie może. — W zapale reformatorskim wpadli Rumuni w drugą ostateczność, tak przeistoczyli język w potocznéj mowie używany, tyle zapożyczyli wyrazów u Włochów i Francuzów, że powstała mowa, któréj sami nieraz bez słownika zrozumieć nie mogą. Wytworzył się język kunsztowny, sztuczny, niewykończony i z każdym dniem zmieniający się — obok którego istnieje mowa potocznego życia w dawnych formach, używana przez masy t. j. przez chłopa i klasy niższe społeczeństwa, nierozumiejące nic a nic owego sztucznego tworu literatów i uczonych. Błąd to wielki, zwłaszcza przy zupełnym braku zabytków piśmiennictwa z przeszłości. Krom jednéj biblji nie posiada literatura rumuńska z dawnych wieków żadnego prawie dzieła. Najgorzéj zaś rzecz się ma z dokumentami historycznemi. Szukać trzeba źródeł w archiwach polskich, węgierskich, niemieckich, u Turków, Greków i Moskali — w Rumunji ani śladu nie pozostało. Ztąd autor wydanéj w roku 1853 Cronica Romanilor zasługuje na największą cześć u swych ziomków a na szacunek u obcych. Sinka, rodem z Transsylwanji, jak drugi nasz Dołęga Chodakowski poświęcił żywot jednéj myśli, zebraniu rozrzuconych po całym świecie dokumentów historycznych, legend i podań wśród swego ludu. Na podstawie takiego materjału zamierzył opisać dzieje Rumunów od wypraw Trajana do Dacji aż do obecnych czasów. Prześladowany przez rządy, więziony, nie zszedł z raz obranéj drogi. Już w r. 1808 chciał wydrukować wstęp do swego wiekopomnego dzieła, lecz rząd austrjacki przez usta swego cenzora taki wydał nań wyrok: opus igne, auctor patibulo dignus (dzieło na stos, autora na

szubienicę). Sinka nie ustraszył się groźby, wkradał się do archiwów austrjackich i moskiewskich, przebiegał Rumunję we wszystkich kierunkach, a niemając gdzie głowy złożyć, cały skarb historycznych dokumentów i zapisków w mieszku ze sobą nosił. Umarł roku 1820 w ostatniéj nędzy, nie doczekawszy się, aby za życia wydać owoc całego życia. Zaledwie w 23 lat po jego śmierci rząd mołdawski za hospodara Giki wydał w Jasach ten jedyny skarbiec dla historji rumuńskiéj. Naród, który takich wydaje ludzi, ma wszelkie prawo do bytu i samodzielności.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Władysław Wołowski. — Georges Sand.

1. Ladislas Wołowski: Corps franc des Vosges, Souvenirs, 1871, Paris, A. Laporte.
2. Georges Sand: Journal d'un voyageur pendant la guerre.

Gdy cudzoziemiec kraj najeżdża, truchleją zwykle tłumy i czołem biją przed zwycięzcą; — garstka tylko patrjotów, ogrzanych świętą miłością Ojczyzny i przeczuwających hańbę i upokorzenie wynikające z obcych rządów, chwyta za broń i puszcza się w zapasy z najezdnikiem. Tak bronił wstępu do Grecji Leonidas na czele trzystu Lacedemończyków, gdy liczne zastępy perskie pod wodzą swego króla Kserksesa ojczyznę jego nawiedzały; tak bronili swéj strzechy ojczystéj Vercingetorix, Witekind, Joanna d'Arc, nasz Stefan Czarniecki, Paskalis Paoli, Schill, Lützow i wielu innych, — tak bronili Barscy konfederaci niezależności Rzeczypospolitéj polskiéj. Z nimi to i z gerylasami hiszpańskimi z roku 1808 porównać można tak zwanych franktirerów czyli wolnych strzelców z ostatniéj wojny francuzko-niemieckiéj, do dziejów któréj Władysław Wołowski dostarczył niektórych przyczynków w dziełku powyżéj wymienioném.

Autor poświęca swoją pracę Leonowi Gambetta, którego może słusznie uważa za jedynego w téj ostatniéj katastrofie zdolnego Francuza, poczuwającego się do pełnienia najświętszych obowiązków, — obrony Ojczyzny.

Gdy autora doszła w Nancy wiadomość o wojnie, starał się różnemi sposoby o wzięcie w niéj udziału, co mu się téż ostatecznie udało. W stopniu kapitana przyłączył się do wolnych strzelców wogezkich pod dowództwem Varaigne'go i Bourras'a. Na czele dwudziestu ludzi zabrawszy w Vezelize sześciu żandarmów pruskich, którzy w sposób kozacki siali postrach w okolicach zajętych przez Niemców, wyruszył pod Bourgonce i Nompatelize z całym oddziałem, który przybywszy po rozbiciu zastępów francuzkich, zasłaniał ich odwrót.

Dnia 11go października 1870 powstrzymał Wołowski, wspierany dwoma kompanjami, pochód Niemców na Brouvelieures i broniąc zacięcie każdéj piędzi ziemi, ustępował w porządku znacznie przeważnéj sile posuwającego się nieprzyjaciela. W Remiremont zabrał przed nosem prawie Niemców pozostałe tam bagaże cofającego się generała Cambriels; w Bezansonie sformował sobie oddziałek konnicy, w rodzaju kolumn ruchomych z naszego ostatniego powstania.

Dnia 28go października udał się Wołowski do Tours, gdzie uzyskał pozwolenie sformowania, czyli raczéj powiększenia swéj kolumny ruchoméj, co téż uskutecznił dnia 14go grudnia. Autor nie zdając sprawy ze swoich czynności od dnia 3go listopada, w którym powrócił z Tours do Besançon, aż po dzień 14go grudnia, upoważnia krytyka do przypuszczenia, że przez cały ten czas formował swoją konnicę; — w przeciągu zaś pięciu tygodni, w chwili gdy nieprzyjaciel pustoszy znaczną część kraju, można było całe legiony utworzyć!

Dnia 22go grudnia udał się do Lugdunu ze skargą na intendantów, którzy mu dostarczać nie chcieli żądanych rekwizytów i powrócił dnia 28go t. m. z odpowiedzią zadawalniającą. Odtąd bierze Wołowski udział w ciągłych potyczkach, staczanych przez wolnych strzelców wogezkich aż do dnia 30 stycznia 1871. Wysłany przez pułkownika Bourras do Lugdunu w celu wywiedzenia się o zawieszeniu broni, niewiadomo, czy powrócił do Trévoux, gdzie korpus jego rozwiązano dnia 1go kwietnia.

Z dziełka p. Wołowskiego przekonywujemy się, że wolni strzelcy za mało działali i że autor jako dowódzca za nadto podróżował. Podobne oddziały spotykać się powinny codziennie z nieprzyjacielem, ciągle go deptać po piętach, — przepraszamy za to wyrażenie, — szukać go i niepokoić do znużenia, nigdy zaś nie pozwolić na to, żeby on pierwsze czynił kroki zaczepne.

W dodatku załącza autor różne rozkazy, depeszy i listy, oraz i spis kadrów oficerskich, z którego wypisujemy następujące nazwiska polskie: Władysław Wołowski, autor niniejszego dziełka, — Olszewski, Archimowicz, Daniszewski i Bronisław Wołowski. W potyczce pod Croix, str. 63, odznaczyli się następujący Polacy: Krzeszowski, Janicki, Majewski i Multanowski.

Trafnym jest pobieżny rzut oka p. Wołowskiego na zadanie konnicy w obec broni iglicowéj i pogląd na ujemne strony kawalerji francuzkiéj. Ocenienie Gambetty podzielamy zupełnie i chętnie powtarzamy z autorem: „Naród wtedy tylko upaść może, skoro jego ostatni obrońca upadnie.“

* * *

— Numer 43 czasopisma niemieckiego „Magazin für die Literatur des Auslandes“ zamieszcza w języku francuzkim następującą krytykę, którą tu dla zapoznania naszych czytelników z niemieckiemi zapatrywaniami się na ostatnią wojnę francuzką podajemy w przekładzie. Recenzent krytykując niedawno temu wydane dzieło pani **Georges Sand** p. n. „Journal d'un voyageur pendant la guerre“, posługuje się językiem francuzkim, ponieważ zamierza przesłać autorce swą pracę.

Książka pani Georges Sand, pisze, obfitująca w doskonałe ocenienie Francuzów, ich politykę, ich instytucje i t. p., widocznie postawiła sobie zadanie, ażeby rozpowszechniać jak najbłędniejsze w świecie i najgłupsze zdania o Niemcach w ogóle, a o Prusakach w szczególe. Świętym więc jest obowiązkiem każdego, który należeć do szlachetnego plemienia Teutonów poczytuje sobie za sławę, — zaprotestować, co mu sił starczy, przeciw hańbiącéj nas gadaninie, przeciw nikczemnym potwarzom, jakiemi piśmiennictwo francuzkie nie poprzestaje obsypywać naszych walecznych żołnierzy, którzy chyba jedną tylko popełnili zbrodnię, — zbrodnię zbyt walecznéj obrony ziemi ukochanéj, części ojczyzny naszéj, przeciw napastnikowi bezbożnemu. Szajka przedajna waszych dziennikarzy bardzo wié dobrze o tém, że owym pięknym baśniom o barbarzyństwie niemieckich ludożerców brak wszelkiéj podstawy; ale ponieważ dzisiejsza moda francuzka nakazuje

szarpać sławę zwycięzcy, obsypywać go gromami obelg i nastawać na to co mu jest najświętszém, najdroższém, — na jego honor i uczciwość, dla tego też znikomi wasi pisarze nie rumienią się wcale, obdarzając swoich łatwowiernych czytelników, chciwych emocji, wyliczaniem bez końca kradzieży, porwań i zabójstw, przypisywanych Niemcom, jakkolwiek wszystkie te zbrodnie tylko istnieją w chorobliwéj wyobraźni owych biedaków. — „Trzeba wam koniecznie czegoś nowego, gdyby nawet w świecie zabrakło nowości.“ Wspaniałomyślne*) tymczasem Niemcy zadawalniały się, odpowiadając uśmiechem najwyższéj pogardy (suprême mépris) na owe tysiączne kłucia śpilkami, któremi naród wielki zechciał obdarzać swego przeciwnika.

Ale od chwili gdy talent podobny do pańskiego, Pani, — gdy genjusz, którego przyzwyczailiśmy się podziwiać i uwielbiać, do tego stopnia unosi się nienawiścią, ze traci swoją bezstronność, — od chwili gdy używa swego pióra, natchnionego powiększeniem przepaści, która się otworzyła pomiędzy dwoma sąsiedniemi narodami, — dla wzniecania ich niezgody, — od téj chwili ustępuje przysłowiowa u nas Niemców cierpliwość sprawiedliwéj i szlachetnéj urazie. Jak możesz, Pani, równocześnie być tak wielką i tak małą? Wielką i nadziemską, gdy chodzi o uspokojenie, podniesienie i o przyjście w pomoc Twemu narodowi, — małą i okrutną, gdy chodzi o zadanie śmiertelnego ciosu zwycięzcom; w tym razie nie cofasz się przed niczém, uciekasz się nawet do środków nikczemnych, — do kłamstwa i do oszczerstwa.

„Bawić może książka przepełniona nawet błędami.“ Twoja książka, Pani, nie powinna, nie może bawić; przedewszystkiém powinna być osnutą na prawdzie, ażeby Twoi współrodacy z niéj mogli korzystać. „Nie ma nic piękniejszego nad prawdę, — prawdę tylko powinniśmy kochać.“

Na stronie 20 mówisz: „Mszczą się Niemcy za nasze zwycięztwa.“ Lekkomyślnie, Pani, traktujesz historję. Francja przeciwnie zapomnieć nam nie chciała Sadowy. Jeżeli nam przyszła „chęć zniszczenia Francji“, — któż ją wywołał? Owa wojna, w któréj broniliśmy się przeciw niesłychanéj i niesprawiedliwéj napaści; — niezawodnie nie pomyślano o tém przed lipcem. Ale u nas nikt nie wołał: zabijajmy, palmy jak banda Korah zabijała w palatynacin r. 1664, r. 1689, a późniéj wszędzie, gdzie się tylko pojawiła. My, nie mieliśmy na myśli prawa „odwetu.“

„Błąd zaślepionego władcy służy Niemcom za pozór.“ — Czy sądzisz Pani w rzeczy saméj, że Napoleon sam jeden wywołał tę wojnę? (Mój Boże, — ona mu była ostatnią ucieczką). Pani, która lepiéj od któréjkolwiek Francuzki znasz dzieje swego czasu, — Pani dobrze wiesz, że powodów do téj wojny gdzieindziéj i daléj szukać wypada. Nie mów nam, Pani, że Ciebie nie zastanawia cały zbieg okoliczności, które w téjże chwili przedstawiają się umysłom oświeconym i badawczym!

Przeszło dwadzieścia lat temu można było widzieć wszędzie rysunek, przedstawiający małego koguta i wzbijającego się ku obłokom orła z następującym podpisem:

„Fleuch Adler auf zur Sonne frei
Und fürchte nicht des kleinen Thiers Geschrei!“

Pan Thiers głosił podówczas i wołał bardzo głośno, — głosem bardzo prowokującym: potrzeba nam Renu, koniecznie go nam potrzeba! Po drugiéj dziesiątki lat upływie wołał ten sam pan Thiers i głosował za obwarowaniem Paryża. Skoro wielką stolicę przeistacza się w twierdzę, trzeba być na to przygotowanym i spodziewać się tego, że prędzéj lub późniéj taż stolica może zostać blokowaną i zburzoną, gdyby nawet w sobie mieściła największe skarby przemysłu i sztuki. Dzisiaj pan Thiers głosował za pokojem. I cóż Pani na to? — czy jeszcze ciągle zdaje się Pani ta wojna skutkiem albo popełnionych przez zaślepionego władcę błędów, albo skutkiem zachętek Niemców pałających zemstą?

Na stronie 30: „Ta wojna zwłaszcza jest brutalną, bez duszy“ i t. d. „Ten naród pozytywistów zawiesił aż do dalszych rozkazów mrzonkę o ludzkości. Laniu dział poświęcił lat dziesięć.“ — Nie wiem, Pani, ile czasu było potrzeba dla stworzenia kartaczownicy; — ale to wiem, że wojska niemieckie ich nie miały, i że wasze szaspoty celowały nad naszą bronią.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Zasłużyliby sobie Niemcy na ten epitet, gdyby po zwycięztwie Sedańskiém, usunąwszy wzięciem do niewoli cesarza Francuzów pozorne powody wojny, byli podyktowali wspaniałe warunki pokoju. Przyp. Red.

Z HEJNEGO.

Ocean perły ma swoje,
Niebo koronę z gwiazd lśniącą;
Lecz serce, o serce moje,
Miłość ma w głębi gorącą.

Wielkiém jest niebo i morze:
Lecz większa miłość w mém łonie,
I piękniéj stokroć nad zorze
I perły — miłość ma płonie.

O dziewczę drobne i hoże,
Do serca mego pójdź w gości!
Bo pierś ma, niebo i morze,
Jedném tchną czarem miłości!

Wł. Bełza.

Korespondencja z Krakowa.

Kraków 14 listopada 1871.

Znane zapewne jest niejednemu z czytelników dziełko Józefa Kremera pod tytułem: Kraków w obec Polski i Sukiennice jego, oraz słowo o bramie Florjańskiéj, wydane w Krakowie r. 1870. Z gorącą miłością swojego rodzinnego gniazda kreśli tam nasz słynny filozof, w ogólnym zarysie stanowisko Krakowa, obowiązki mieszkańców jego w obec całéj Polski, jakie na nas włożyła przeszłość i czego po nas ma prawo wymagać cały naród. „Puścizna — mówi J. Kremer — która dzie-

dzictwem przeszłości na naród spadła jest dwojakiéj istoty. Jedna materjalna, dotykalna; w niéj widzimy wcielonego, uzmysłowionego ojczystego ducha Polski — są to zabytki, pomniki historyczne i dzieła sztuki po dawnych wiekach.

„Druga istota dziedzictwa naszego jest już wprost duchową, idealną — jest to mowa ojczysta i umiejętność narodowa. Dwojakie to dziedzictwo zrodziło też dwojakie powinności naszego miasta.“ Przyznaje nam autor tego dziełka, że przechowaniem owéj spuścizny „śmiało Kraków pochlubić się może“ i zajmująco określa sprawy przez Krakowian w pomienionych celach dokonane. Jakże dziś nie mamy się ze wstydu rumienić, gdy w rok po wydaniu dziełka rektora Jagielońskiego Uniwersytetu część tych samych Krakowian podnosi świętokradzką rękę na zniszczenie jednego prawdziwie mieszczańskiego zabytku — na Sukiennice.

Ratusz i Sukiennice to szczątki znaczenia i bogactwa mieszczan krakowskich. Poświęceniem dla dobra kraju dobili się oni znaczenia i powagi w narodzie, zasiadali na sejmach zrównani z szlachtą; handlem się bogacili, że aż zazdrosna szlachta nie mogąc znieść przepychu i zbytków „krakowskich kłyków“, ustanawiała takie n. p. przepisy, jak mają być długie falbany u sukien mieszczek a jak wysokie czepce. Siedlisko władzy miejskiéj — ratusz, śliczny zabytek dawnych czasów, przed którym królowie zasiadłszy na tronie, odbierali hołdy lenników, gdzie w r. 1794 Kościuszko przysięgę narodowi wykonał, zburzyli mieszczanie krakowscy w r. 1820, zostawiwszy żywy dowód swego barbarzyństwa w wieży, która jak sierota sterczy wśród miasta i dopomina się odbudowania utraconych części. Dziś znowu synowie burzycieli ratusza wołają: zburzyć Sukiennice, które tyle wieków wśród różnéj biedy przetrwały!

Któżby uwierzył, że prawdziwą przyczyną tego barbaryzmu nic więcéj nie jest, jak najobrzydliwsze łakomstwo obywateli tych, co mając kamienice, zwłaszcza w rynku, boją się, aby odnowione Sukiennice, mogąc pomieścić na dole kilkudziesięciu kupców w sklepach, a na piętrze kilka publicznych instytucji, nie obniżyły im wysokości dzisiejszych czynszów mieszkalnych. Niesłychane zdzierstwo obecnie w Krakowie za mieszkania i sklepy doprowadziło krakowskich właścicieli domów do tego stopnia pożądliwości, iż gdyby mogli sprzedać całe miasto, wszystkie pomniki, uczyniliby to natychmiast, byle było za co akcje kupować i grać na giełdzie.

Gdy jednak, dzięki zwycięztwu inteligencji naszéj, głosu samolubstwa nie usłuchał prezydent miasta Dr. Dietl i odnowę Sukiennic hrabiemu Platerowi powierzył, krzyczy ta samolubna rzesza, aby przynajmniéj Sukiennice przerobić na cacko dla ozdoby miasta, ale bynajmniéj nie dla użytku. Tu prawda wychodzi na wierzch, że chodzi owym obywatelom o własną kieszeń, a nie o dobro miasta. Bo skoro się wyłoży koło 200 tysięcy guldenów na doprowadzenie Sukiennic do odpowiedniéj im godności i przeznaczenia, łącząc wymagania jako zabytku z przeszłości z potrzebami obecnego czasu, aby i nadal były siedliskiem handlu, miasto wkrótce swoje koszta pokryje z dochodów, jakie czynić będzie budynek wyrestaurowany a potém podniesie budżet miejski najmniéj o 30 tysięcy guldenów rocznie, i dopełni swego obowiązku strzeżenia pomników narodowych jego pieczy powierzonych. Rynek krakowski, jakiego w Europie drugiego nie ma, niezmiernie się ozdobi, gdy Sukiennice odnowioną i uzupełnioną postać przybierą. Nam w Krakowie nie wolno burzyć niczego, czegośmy nie postawili, a cośmy w spadku odziedziczyli, świętym jest obowiązkiem przekazać następcom w jak najlepszym stanie. Dodać tu wypada, że nie cały koszt odnowy Sukiennic spada na miasto, bo cesarz austrjacki dał na to 20 tysięcy guldenów, sejm przeznaczył 30 tysięcy guldenów, składki wynoszą około 20,000 a jeszcze nadzieja, że loterja fantowa na ten cel urządzona także coś większego przyniesie.

Co się tu dziwić, że samoluby krakowskie krzywo patrzą na odnowę Sukiennic, kiedy „Kraj“, dziennik niby postępowy, w num. 239 z dnia 19go października b. r. na tę samą nutę śpiewa, aby z Sukiennic nie robiono bazaru. Przecież na ten cel je ufundowano, kilka wieków od swego założenia do dziś dnia spełniały handlowe przeznaczenie i tém zostać powinny. Redakcja „Kraju“ jeźli nie chce służyć zachciankom chciwych zysku ludzi nie powinna występować w ich obronie, nie mając na poparcie swoich słów nic prócz głosu obrzydliwego egoizmu, coby się godziło karcić a nie brać w obronę, chyba że właścicielowi Kraju chodzi także o składy w własnéj kamienicy przy ulicy Mikołajskiéj.

Wyszła właśnie broszura w Krakowie: „Żydzi w Polsce“ w zastosowaniu do obecnego przeistaczania w Krakowie starożytnéj budowy Sukiennic na dom czynszowy, przez Antoniego Wojczyńskiego*).

Autor tego piśmidła wywodzi pochodzenie żydów krakowskich z Sodomy i Gomory, z téj garstki, która uniknęła zniszczenia wraz z zapadniętemi miastami, znajdując się przypadkowo w tym czasie za miastem. Żyma się autor na potomków Izraela (najpiękniejszy jednak skład w swéj kamienicy w rynku żydowi wynajął), pisze takie brednie jak n. p. że Kazimirz W. miasto osobne Kazimirzem zwane, dla żydów założył, Wisłą odosobnił, i zabronił się im pokazywać w mieście. Skoro tyle wiadomości autor powyższéj broszury nie posiada, że Kazimirz, dzisiejsze przedmieście Krakowa, istnieje już od Kazimirza Igo, więc z pierwszéj połowy XI wieku, że była to dzielnica czysto chrześcijańska, to powinien się był zastanowić, zkąd przyszło Kazimirzowi W. budować na Kazimirzu tak wspaniałe chrześcijańskie świątynie jak Bożego Ciała, św. Katarzyny i zakładać tamże akademję, jeźliby to miasto miał dla żydów fundować, témbardziéj, gdy istniały tam już kościoły św. Michała na Skałce, św. Wawrzyńca i św. Jakóba, a późniéj popowstawały kościoły św. Zofji i św. Leonarda, dziś już nieistniejące. Dla kogoż także ratusz zbudowano, gdy żydom nie wolno było tworzyć magistratów ani sprawować sądów. Żydzi naówczas mieszkali w Krakowie rozpierzchnięci po różnych ulicach, Żydowskiéj, Gołębiéj, Kanonnéj, a nawet w rynku głównym mieli do ostatnich czasów forum Judeorum koło kościołka świętego Wojciecha.

Pan Antoni Wojczyński w końcu swéj broszury stanowiącéj prawdziwe curiosum, obiecuje żydom, że jeżeli w nasze święta nie będą wraz z nami próżnowali, to „natenczas niech się dzieje co chce, my weźmiemy z domu widły, cepy, a żony nasze łopaty, kopaczki; potłuczemy żydowskie kości, żydzi pogubią w ucieczce na Kazimirz pantofle, kapoty, a to będzie świadectwem i nauką wszystkim innym żydom, że my z ojców praojców katolicy nie dozwolimy, aby parszywcy żydzi znieważali niedziele i święta nasze.“ (!)

Rozwodząc się zaś nad kwestją Sukiennic, p. Wojczyński zburzyć je radzi, a na ich miejsce zbudować przemysłową kolonję z drewnianych budek w guście szwajcarskim dla przekupniów wyłącznie katolickich. Taka tandeta na środku rynku naprzeciw kościoła Panny Marji według zdania sławetnego autora miałyby być największą ozdobą miasta!

Znowu ubyła nam z Krakowa ozdoba świata uczonego, Dr. Eug. Janota, delegat do rady szkolnéj

*) Zobacz Kronikę galicyjską, umieszczoną w przeszłym numerze Tygodnika.

we Lwowie, mianowany został profesorem literatury niemieckiéj przy wszechnicy lwowskiéj. Mamy nadzieję, że z wejściem w skład rady szkolnéj Dr. Janoty kraj zyska bardzo wiele; sprawa oświaty pójdzie szybszym niż dotąd biegiem i nepotyzm przy obsadzaniu posad nie będzie mógł tak kwitnąć, gdyż jesteśmy pewni, że do niecnych robót w radzie szkólnéj Dr. Janota ręki nie przyłoży, chociażby miał sprawy swoich kolegów sądowi ogółu poddawać.

Że konkursa wszelkie w Galicji są czczą blagą, nędzną komedją, drwinami z ludzi nieraz najzasłużeńszych, ma teraz ogół sposobność się przekonać o tém. Wydział krajowy teraz właśnie ogłosił konkurs na posadę krajowego referenta spraw lekarskich, na którą prowizorycznie powołano przez protekcję z Warszawy p. Dobieszewskiego, gdy jednak nie posiadał on doktoratu medycznego, co jest pierwszym warunkiem na tę ważną posadę, wydział krajowy czekał z ogłoszeniem konkursu, dopóki rygorozów nie zdał p. Dobieszewski w Krakowie, co teraz dopełnił.

Ktoby obecnie nie znając właściwości galicyjskich władz autonomicznych w ogólności, a wydziału krajowego w szczególności, ktoby nie wiedział o królującéj w tym wydziale osobie, nadaremnieby się trudził zanoszeniem podania o powyższą posadę referenta, która już z góry jest przeznaczoną dla pana Dobieszewskiego. Zaprawdę, szkoda i téj trochy grosza na inseraty i na zawodzenie nieświadomych ludzi. Wszelkie przeszkody przy doktoryzacji poszły p. Dobieszewskiemu na uniwersytecie jagiellońskim gładko, bo panowie profesorowie potrzebują łaski pana referenta, a pan referent tą razą względów panów profesorów, więc ręka rękę myje.

Przecież jeszcze w XIX wieku opinja publiczna wiele może, gdy najaciętszą w spełnianiu samowoli dyrekcję Tow. Sztuk Pięknych w Krakowie zmusiła do cofnięcia uchwały w kwestji sprzedaży Litwy Ar. Grotgera. Dnia 29go października odbyta sesja w większém gronie niż dnia 5go września, zawiesiła owe niecne postanowienie uczynione na wniosek p. Lucjana Siemieńskiego. Rozpatrzywszy się w składzie owéj dyrekcji można było łatwo przypuścić, że oburzający wniosek zlicytowania Lituaniki mógł tylko autor Teki Stańczyka postawić.

Pan Lucjan Siemieński, autor najznakomitszéj historji polskiéj dla młodzieży i dla ludu: Wieczorów pod Lipą, tłomacz Odyssei, Sonetów Buanarottego, który przełożył dla nas Rękopis Królodworski, poeta, autor wielu szkiców z życia naszych pisarzy, fejletonista „Czasu“ i zjadliwy recenzent w dziedzinie nauk i sztuk pięknych, autor rozgłośnéj komedji „Na wyspie“, dawniéj libertyn wyszydzający wszystkie świętości religji, późniéj zaprzedany ultramontanom, osiwiały już i przygnębiony wiekiem, zieje dziś jadem na wszystko, co tchnie postępem, wolnością i miłością ojczyzny. Strącony z trójnoga wyroczni, gdzie się wdarł na tyranizowanie literatów i artystów, dziś chwycił się klamek pańskich i jezuickich dla miłego grosza, a przywdziawszy czapkę Stańczyka spotwarza ideę, za którą syn jego życie poniósł, bo walcząc z Moskalami, poległ jak na syna polskiego przystało.

Za rok bieżący dla członków swoich na premium Dyrekcja Tow. Sztuk Pięknych Krakowskiego podobno przeznacza znowu rycinę z akwarelli Kossaka: Jan III pod Wiedniem błogosławiący hufiec syna swego. Wybór wcale nieszczególny, bo jakeśmy się już tego roku przekonali, akwarelle Kossaka zachwycające ogólnym tonem, w szczegółach pobieżne, nie mogą się dobrze wydać w rycinie. Czyby nie godziło się dopełnić obietnicy, z czego się bardzo cieszono, aby każdy członek Tow. Sztuk Pięknych otrzymał jako premium album Lituaniki Grottgera w fotografjach. Byłaby to najwspanialsza nagroda dla akcjonarjuszów, z którąby już nie mieli kłopotu przez oprawianie za szkłem w ramki wielkiego papiéru, turbowania się o miejsce na ścianie, lecz jako album zalegałaby stoły jako ukochane dzieło sztuki nieśmiertelnego Grottgera.

Z ZAPISKÓW ENCYKLOPEDYCZNYCH
EDMUNDA CALLIERA.

Kosińscy.

(Dokończenie.)

— Jenerał Ignacy Prądzyński w swoich „Czterech ostatnich wodzach polskich przed sądem Historji“, na str. 81 sq. wspomina o pułkowniku **Kosińskim**, któremu oddano dowództwo nad pułkiem nadwiślańskim, utworzonym roku 1814 we Francji ze szczątków polskiéj piechoty. Ranny podczas obrony atakowanego przez Bluechera miasta Soissons, jakkolwiek z tego powodu nie mógł mieć udziału w radzie obronnéj, która miasto poddała Niemcom, uwięziony został z rozkazu Napoleona Igo i odstawiony pod strażą do Paryża. — O kapitanie **Kosińskim**, naczelniku twierdzy Częstochowskiéj, który r. 1814 mógł już być pułkownikiem, wspomina pod rokiem 1806, na str. 17, Bronisław Zamorski w swojém studjum historyczném „Polska od roku 1807 do 1815.

* * *

— Jenerał Wysocki, dowódzca legjonu polskiego na Węgrzech z czasu kampanji węgierskiéj w roku 1848 i 1849, wykazuje w swoim pamiętniku, str. 145, Nr. 5, podoficera **Antoniego Kosińskiego**. — Pod témże samém imieniem i nazwiskiem zamieszcza, pod Nr. 982 i na str. 127, Ludwik Lubliner w swojém dziełku p. n. „Les Confiscations des biens des Polonais sous le règne de l'empereur Nicolas I“ obywatela polskiego, który w skutek konfiskaty postradał swe mienie.

* * *

— Zygmunt Kolumna w drugiéj części swojéj „Pamjątki dla rodzin polskich“, na stronie 128, wykazuje dwóch braci **Kosińskich** z Kaliskiego, którzy zginęli r. 1863 pod Sędziejewicami; — w pierwszéj części, na str. 75, mówi o **Kosińskim**, który wioząc depesze do jenerała Bosaka, ujęty w drodze został i powieszony w Radomiu r. 1864 dnia 5 stycznia, — oraz i o **Kosińskim Jozafacie**, który należąc do organizacji żandarmów narodowych, ujęty został i rozstrzelany w Warszawie r. 1863 dnia 30 września.

* * *

— Chrzanowskiego mapa Królestwa polskiego (Białystok Nr. 17) pomiędzy 22—23° długości i 53—52 szerokości, naznacza wieś, zwaną **Kosiński**, położoną po

prawym brzegu Jasiołdy, — na zachód i w pobliżu traktu, wiodącego z Prużan do Rużanny.

* * *

Kosiny. Trzy wsie tego nazwiska z przydomkami, to jest Kosiny Stare, Bartosie i Kapliczne leżą pod Mławą w województwie (dziś gubernji) Płockiém i są zapewne gniazdem obu familji Kosińskich, gdyż do dziś dnia należą do członków tych rodzin. Antoni Kosiński herbu Rogala, właściciel Lewiczyna, Słomki, Kosin Starych i Kosin Bartosowych z pierwszéj żony Laskowskiéj miał 2 synów, Henryka i Kazimirza, księży. Z drugiéj żony z Nakwaskich miał 3 synów: Izydora, Wojciecha i Józefa. — Izydor i Wojciech nie zostawili potomstwa w linji męzkiéj. Józef zaś zostawił z małżonki Brygidy z Gąsiorowskich dwóch synów, Adama i Stanisława. — Stanisław umarł zostawiwszy dwie córki. Adam zaś zostawił trzech synów: Józefa, Antoniego i Przemysława, żyjących jeszcze około 1850 r. — Inne gniazdo Kosińskich, mianowicie herbu Rawicz, zamieszkiwało od niepamiętnych czasów w Kosinach Kaplicznych. Jeden Kosiński z Rawiczów zostawił syna Wincentego i wdowę, która poszła za Izydora Rogala Kosińskiego, wyżéj wymienionego, w Kosinach Bartosowych zamieszkałego. Izydor z tą wdową miał córkę, dzisiejszą panią Kawiecką, żyjącą obecnie w tychże Kosinach Bartosowych. Wincenty zaś Rawicz Kosiński umarł, zostawiwszy syna także Wincentego, zamieszkującego obecnie w starém swém gnieździe Kosinach Kaplicznych. — (Wyjęto z prywatnych familijnych poszukiwań).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POKŁOSIE.

— Nakładem J. N. Romana w Pelpliwie wyszło dziełko p. n. „Ustawy życia pobożnego **Ludwika Blozyusza**, opata' Lecyeńskiego, zakonu św. Benedykta.

* * *

— **Franciszek Rychlicki** wydał dzieło p. n. „Tadeusz Kościuszko i Rozbiór Polski.“

* * *

— Dr. **Gustaw Roszkowski**, docent wszechnicy Jagiellońskiéj w Krakowie, ogłosił program rozpoczętych wykładów filozofji prawa, które dzieli na trzy następujące części: „Fundamentalna filozofja prawa, System prawa ze stanowiska filozofji i Rozwój idei prawa w historji.“ Z tego programu dowiadujemy się, że p. Roszkowski przygotowywuje do druku rozprawy: „O poselstwach dypłomatycznych i konsulatach, — O życiu Fr. K. Savigny, — i O zadaniu i systemie filozofji prawa.“ W przeszłym i w bieżącym roku wydał autor: „Ueber das Wesen des Eigenthums, — O istocie i znaczeniu filozofji prawa, — Pogląd na naukę Fr. K. Savigny, — O stanowisku Szkoły historycznéj w nauce prawa, — i O metodzie wykładu filozofji prawa.“ — W téj ostatniéj rozprawie wypowiada p. Roszkowski metodę, do któréj zastosowywać będzie swoje wykłady. „Wychodzimy z nas samych, mówi w tym względzie, i naszéj samowiedzy, badając przedewszystkiém te ideje, które się w niéj o prawie i państwie znajdują; z pochodnią tych pojęć śledzimy społeczne urządzenia w właściwéj ich dziedzinie, tak jak one się same wyrobiły w życiu, jak one istnieją dzisiaj i jak się wywijały w historji. Stanąwszy na tym gruncie rzeczywistych zjawisk, wnikamy w ich treść najgłębszą za pośrednictwem rozumu, i zużywając całkowity empiryczny materjał naszego badania, wyprowadzamy rozumowe wnioski nietylko o istocie społecznych instytucji, ale i o niezbędnych przekształceniach w ich ustroju, gdy te uważamy za usprawiedliwione. Zanim jednak ostatnie wyrzeczemy słowo zwracamy się znowuż do życia, ażeby na miejsce wyłącznie naukowych wymagań nie postawić fantazyjnych zachcianek.“

* * *

— „Przegląd lwowski“ zamieścił w zeszycie XXI rozprawę o pochodzeniu pieśni „**Bogarodzica**.“

* * *

— Wychodzący tu w Poznaniu „Ziemianin“, tygodnik przemysłowo-rolniczy, zamieszczając w Nr. 45 przyczynek do rozwiązania kwestji: **Jak zaradzić wychodźtwu naszego ludu wiejskiego?** poleca pomiędzy innemi zakładanie szkółek niedzielnych i kas oszczędności. — Pisma nasze polityczne, które stać powinny na czatach zagrożonéj Polskości, zamało jeszcze stosunkowo do rzeczywistéj potrzeby zajmują się społeczeństwem, którego być powinni strażnikami. — Manja wychodźtwa do Ameryki objawiając się i w Niemczech, wywołała obawę niemieckich patrjotów, którzy pragną, ażeby „Matka Germanja nie w tak znacznéj liczbie wysyłała swe dzieci do krajów zamorskich.“ Szanowni ci niemieccy patrjoci mają niezawodnie na myśli ziemie polskie i ruskie, które jeszcze wiele tysięcy Niemców wyżywić mogą....

* * *

— Numer 254 Dziennika Poznańskiego rozpisuje się o **Francuzach** i o ich dla nas usposobieniu. Okupiwszy krwawo sympatję francuzką, doznaliśmy w ubiegłym roku, jak ona łatwo zamienić się może w antypatję, a z objawu tego powinniśmy wnioskować, że nam nie potrzeba sympatji francuzkiéj, która zresztą tu u nas w kraju więcéj wyrządziła szkody, jak użytku przyniosła; — odrywając nas bowiem od naszych spraw wewnętrznych, niepotrzebnie zaprzątała nam umysły. Skoro się ziszczą słowa jednego z poetów francuzkich

La foi des Polonais ne doit être plus trompée,
La France doit parler, la main sur son épée,

natenczas pojmiemy naszą dla Francuzów sympatję, bo równą wtedy odpłaci nam Francja monetą za wylaną dla niéj krew polską. Polityka nadto europejska popycha Francję do przymierza jeżeli nie z niemiecką dynastją Romanowów, to z ludami słowiańskiemi, wśród których państwo rosyjskie dotąd największą jéj daje gwarancję; sprzymierze zaś francuzko-rosyjskie nam Polakom przychylném być nie może, — choćby ze względów politycznych.

* * *

— Zwracamy uwagę na bezstronną jakkolwiek niewyczerpującą recenzję dzieła **Bronisława Zaleskiego** p. n. „Rzym jako stolica państwa włoskiego“, zawartą w numerze 250 Dziennika poznańskiego.

* * *

— Numer 256 sq. Dziennika poznańskiego zamieszcza rozprawę p. n. **Szlachta i Mieszczaństwo**, ich znaczenie i zadanie w społeczności polskiéj“, z któréj wypisując następujący ustęp, zgodny z naszém przekonaniem:

„Szlachta polska jest więc z natury swéj zachowawczą przedstawicielką ciągłości idei narodowéj, reprezentantką tradycji t. j. historji swego narodu, ale bynajmniéj wsteczną być nie potrzebuje i téż zwykle nią nie jest, chyba, że ją złe duchy ultramontańskiemi przewrotnemi ideami nakarmią i do donkichotskich turniejów przeciw światłu i postępowi zaprawią“,

Zamiast „duchy ultramontańskie“ powiedzielibyśmy „duchy jezuickie.“

* * *

— „Gazeta Toruńska“ i „Orędownik“ poznański bronią praw **języka polskiego** w szkołach pruskich, polemizując z forpocztami niemieckiéj oświaty.

* * *

— Szanownego autora Listów drezdeńskich do „Kraju", Nr. 255, zapewnić możemy, że dochodzące go smutne wróżby o Sobótce i Tygodniku Wielkopolskim od chorobliwych tylko wróżbiarzy pochodzić mogą. Nie jesteśmy wprawdzie wtajemniczeni w sprawy wewnętrzne Sobótki, życzymy jéj przecież najdłuższego życia i najświetniejszego powodzenia. Co zaś do Tygodnika Wielkopolskiego zapewniamy Szanownego autora Listów drezdeńskich, że teka nasza przepełnioną jest cennemi utworami ducha polskiego, a wpływająca przedpłata pokrywa koszta nakładowe. Wbrew powtórzonéj przez znakomitego autora wróżbie zamierzamy od Nowego Roku ramy naszego Tygodnika powiększyć i treść jego o ile możności polepszyć. Dla poznania zaś naszych ukrytych nieprzyjacioł prosimy pana J. I. Kraszewskiego o łaskawe bliższe określenie źródła, z którego zaczerpnął ową wiadomość.

* * *

— Z Chełmna donoszą nam, że dnia 6go b. m. odbył się tam koncert na rzecz kształcącéj się młodzieży, na którym podobno ani jednéj pieśni polskiéj nie usłyszano. Zapraszające na koncert afisze zredagowane były w języku niemieckim. — Obojętność Polaków miała być rażącą.

Przedpłaciciele
na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa:

23. Wna Józefa Prądzyńska w Wałdowie p. Sempolnem 1 egz.
24. Wny Białkowski w Chodzicach pod Środą .... 1 „
25. Dr. J .... 1 „
26. Wny Władysław Jerzykiewicz .... 1 „
27. Wna Wyczałkowska .... 1 egz.
28. Karol Wild we Lwowie .... 20 „
48. Wny Antoni Kozłowski z Kozłowa p. Terespolem.... 1 „

Skrzynka do listów.

P. Henrykowi Sch... w Saint-Louis: Po odebraniu wiadomych zapisków doniesiemy Panu, czy przystając na podane nam warunki, będziemy mogli je w piśmie naszém zamieszczać. — List wysłaliśmy da hrabiny M...

P. Ludwikowi Ż... z K...: Dziękujemy za łaskawą o nas pamięć.

P. Stanisławowi A... w K...: Żądane dzieło już jest wyczerpnięte. W przyszłym numerze pojawi się znów spis tanich książek. Nadesłane pieniądze zostają u nas do jego dalszych dyspozycji.

Pułkownikowi Lauremu w Paryżu: Co się stało z Waszém towarzystwem Wojskowych polskich, zawiązaném r. 1865 w dniu 4go czerwca?

P. Janowi S..., autorowi Siedmiu myśli przewodnich dla Polski austrjackiéj: Prosimy o nadesłanie wiadomych illustracji i podanie nam swoich warunków.

Dr. Ł...: Dziwnym zbiegiem okoliczności pomyśleliśmy równocześnie o sobie. — Przepraszamy za zwłokę. — List wysłany.

Panu Fr. D. wręczono kilka x. x. x. x. x. — Nie wiadomo nam, czy osoby, którym przesłaliśmy wskazaną liczbę xx., uiściły się z długu. — Z księgarzy, wyjąwszy Żupańskiego — nikt. — W każdym razie jesteśmy wdzięczni za przypomnienie, — prosimy o częstsze o Sobie znaki życia.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.